ROZMAITOŚCI.

Dnia 14. Października **N.er 41.** Roku 1843.

ZAŚLUBINY Z MORZEM.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

Nieznośną obawą i złowrogiém jakimeś przeczuciem dręczony, powracał młody, waleczny Zijani do ojczystéj Wenecyi. Niósł on dla Doży smutną wieść o niepomyślnym wypadku poselstwa, którém go senat przez szczególne zaufanie był zaszczycił. Układy o pokój mimo najusilniejsze starania, nie przyszły do skutku. Do tego nieszczęścia przyłączyło się i drugie daleko większe! W czasie niebytności Zijaniego pojawiła się w Wenecyi morowa zaraza, która porówno ubogie chaty jak i pyszne pałace wyludniała okropnie. Ta wieść straszliwa zabiegła Zijaniemu drogę i przeraziła go boleśnie! Przybywszy do Wenecyi, gnany niewysłowioną trwogą, przebiegał jak bez zmysłów ulice miasta i dopytywał się z bijącem sercem: ażali nieubłagana wysłannica śmierci, nie zwidziła domu starego Daponte, w którego ścianach mieszkał najdroższy przedmiot jego głębokiéj tęsknoty, skarb najpieściwszych życzeń jego!

Towarzyszył mu przyjaciel Malapiero, jedyny powiernik jego miłości.

Okropny widok spustoszenia stawił się ich oczom. Ponura cisza, grobowa samotność zaległa ulice niedawno tak rojno zamieszkałego miasta; na miejscach, po których piérwéj zatrudniony lud tłumnie się zgromadzał, rosła teraz trawa z pomiędzy szczelin bruku; gdzieniegdzie tylko u niektórych domów drzwi pootwierane, świadczyły jeszcze, że ich mieszkańce uszły jadu śmiertelnéj zarazy, ale z ich przybytków odbijał się głos trwożnie odmawianych modlitw, odbijał się jęk rozpaczy, serce rozdzierający! W całém mieście nie było jednéj żyjącéj duszy, któraby otoczona trupami krewnych, przyjaciół lub powinowatych, nie oczekiwała co chwila w katuszach trwogi spełnienia tegoż samego losu! Okropna kara niebios zawiesiła się nad tém dumném miastem! Na placach, u progów świątyń, na wschodach pałaców, przy studniach, wszędzie i wszędzie walały się morem zbolałe ciała; u piersi skośniałych już matek, żałośnym piskiem domagały się schorzałe niemowlęta pokarmu dla przedłużenia życia, a dzikie, rozpaczą i nieustanną obawą śmierci, rozumu pozbawione, obrzydłe postacie, siedząc z wytrzeszczonémi oczy i z wykrzywionémi twarzami na trupach lub kamiennych przysłupkach narożnych ulic, wyszczerzając zęby na przechodzących, śmiały się szalonym głosem, jakby na zgrozę potępieńcy z piekła wysłani! Niemniej okropne straszydła w czarnych płaszczach i takichże na twarz zapuszczonych kapuzach, włóczyły się z pochodniami w ręku po wypustoszałych ulicach, i zbiérając bez wszelkiego uczucia ludzkości leżące trupy, pisali na każdym zwidzonym przez nich domu — to śmiertelną dreszczą przeszywające słowo: »Wymarło!«

Zijani zadrżał na ten widok straszliwy, lecz miłość pokonała trwogę, nadzieja, ta w największéj ostateczności tlejąca w sercu człowieczém iskra boska, ożywiała otuchą serce jego! Podwójnym krokiem, prawie bez tchu śpieszył do pomieszkania Daponta; ale piérwsze—co za zbliżeniem się swojém ujrzał, i co go śmiertelnym przejęło ciosem, było to nieszczęsne, to okrutne słowo: »Wymarło!« nad drzwiami Daponta wypisane! Było to piorun przez oczy w duszę jego przesłany! — Nadaremno wstrzymywał Malapiero nieszczęśliwego przyjaciela swego,

ale wszelka pociecha szła mu mimo uszu; okropną rozpaczą uniesiony, z wybladłém licem, osłupiałym wzrokiem rzucił się jak bez zmysłów, i wpadł do domu wołając: »Giovanna! Giovanna!«

Głuche milczenie wymarłych komnat nie odpowiadało na jego wołanie, samo nawet echo utraciło swój głos pocieszający!—Zastał dóm cały pustką stojący. Różne sprzęty i szaty leżały porozrzucane po posadzce; wszystko oznajmowało, że nieszczęśliwi mieszkańcy dopiéroco niedawno przybytek ten opuścili.

Zijani opiérał się długo, nie chciał oddalić się z téj siedziby nieszczęścia i zgrozy; miał on to za swoję ostatnią powinność miłości: skonać na tém samém miejscu, gdzie jego Giovanna swoję czystą duszę Bogu oddała! Malapiero wyprowadził go z pustych ścian przemocą. Ledwie uszli kilkaset kroków, aż oto okropny hałas przeraża ich uszy i widzą lud ogromnym tłumem sypiący się do pałacu książęcego.

»Teraz zapomniéj boleści twojéj«, rzecze do niego Malapiero, »teraz cię wzywa ojczyzna, matka nas wszystkich! Pójdźmy za zdziczałem pospólstwem, ten tłum zhukany wymaga koniecznie naszéj obecności, srogie nieszczęście obłąkało umysł jego, nam przynależy mieć radę w tém zaburzeniu.« A ta rozsądna uwaga jego, była właśnie na czasie.

Morową zarazą nawidzeni Wenecyjanie, oskarzali Dożę o sprowadzenie tych wszystkich klęsk na ich głowy. Mieli téż po części niejaką słuszność za sobą, gdyż nierozsądnie przedłużony pobyt wojska na wyspie Scyjo, spowodował zniszczenie weneckiéj floty i wniósł morową zarazę w łono ojczystego miasta.

Mężni i pełni miłości ojczyzny Wenecyjanie, byliby przelali chętnie ostatnią kroplę krwi w obronie swéj ukochanéj rzeczypospolitéj, gdyby ich nie były obmierzłe choroby wytępiły przy ich domowém ognisku, gdyby ich nie była wyludniła nagła, konwulsyjna śmierć w ich nadmorskiéj siedzibie. Teraz słuchali tylko głosu rozpaczy i wołali o pomstę do nieba na głowę Doży. Wściekłe tłumy cisnęły się zewsząd do pałacu, a ze wszech stron dawał się słyszeć okrzyk: »Precz ze zdrajcą Vitalim, co nam zamiast pokoju, śmierć przynosi! Precz ze zdrajcą! Niech zginie Doża Vitali!«

W tak groźném położeniu, Doża jedynie na wierności swojéj przybocznéj straży mógł polegać; ale i w téj liczbie znajdowali się ojcowie opłakujący swoich dzieci a synowie rodziców! Morowa zaraza nad nikim się nie lituje, niechże w takiéj chwili nieszczęścia nikt na miłosierdzie nie liczy! — Straż słaby tylko opór stawiła naciskającemu ludowi, a Doża w tych smutnych okolicznościach postanowił z niebezpieczeństwem życia, usprawiedliwić postępki swego urzędowania, zachować cześć dla swojéj osoby i przywrócić spokój Wenecyi. Odziany książęcym płaszczem i wszelkiémi oznakami swojéj godności, postępując przez zbrodnicze pospólstwo spokojnie w postawie uszanowanie nakazującéj, rzekł zwolna do rozjątrzonego tłumu: »Dzieci! oto stoję pośród was i nie lękam się waszego sądu; ale wiedzcie, że to Bóg, ów wszechmocny dawca żywota, a nie ja ojciec rzeczypospolitéj, zesłał anioła śmierci na miasto nasze!«

Na widok tak dostojnéj, szanownéj postaci, lud umilkł i trwożnie się rozstąpił. Właśnie w téj chwili Zijani i Malapiero przybyli na plac i starali się uśmierzyć wzburzenie. Już nawalna tucza jakby czarodziejskiém słowem zażegnana, zaczęła się uciszać, i zaledwie tylko z-dala kilka jeszcze głosów dało się słyszéć »Precz ze zdrajcą!« gdy oto nagle jakiś starzec z obłąkanym wzrokiem, z rozczochranémi włosy i z bladą jak trup twarzą, wołając: »Gdzie jest zabójca mojéj żony i moich dzieci!« wypada z tłumu ni błyskawica z chmury! Rozdziczałe oko jego pada na Dożę. Jak wściekły źwiérz rzuca się na księcia i topi mu sztylet w piersi. Nieszczęśliwy Vitali pada trupem na ziemię, a zdumiałe pospólstwo ustępuje trwożnie z drogi zabójcy wznoszącemu z tryjumfującą miną zakrwawiony sztylet, którym zakończył dni szlachetnego żywota.

Zijani za pierwszym rzutem oka poznaje w mordercy starego Dapontę, ojca swojéj kochanki; spieszy za nim przez spustoszałe ulice Wenecyi, dogania go i pyta głosem obumarłym:

»Nieszczęsny! gdzie twoja córka?

Daponte wpatruje mu się w twarz przez długą chwilę, aż nareszcie śmiech piekielny wydobywa z swego gardła i woła:

»Jako? Ciebie więc śmierć oszczędziła? Ty żyjesz jeszcze? O, pójdźże, pójdź oblubieńcze, pójdź, niech cię poprowadzę w ramiona twojéj narzeczonéj!«

To rzekłszy, zamilkł zaciętnie, i ani skinieniem nie odpowiedział na tysiączne zapytania niecierpliwego młodzieńca. Prowadził go przez brudne, odległe zaułki — na smętarz samotny. Tam biédna Giovanna na posłaniu ze słomy, walczyła boleśnie ze śmiercią.

Strata żony i reszty dzieci pozbawiła starca zmysłów. Dla uniknienia oblicza ludzkiego, zamieszkał smętarz wraz z córką od morowego powietrza zarażoną. Już był postanowił jednym ciosem zakończyć życie ostatniego dziécięcia i swoje własne, gdy nagły okrzyk zhukanego, do pałacu dożów bieżącego pospólstwa, przeszkodził mu w wykonaniu tego okrutnego przedsięwzięcia. Rozdziczała tłuszcza porwała go ze sobą, a ślepą owładnięty wściekłością, zbyt porywczą ręką położył trupem człowieka, którego głos powszechny ludu, mianował sprawcą cierpień swoich.

Zijani zalany łzami, ukląkł przy mierzwianém podścielisku Giovanny, tysiąc-krotnie powtarzał jéj drogie imię, aż nakoniec dziewica otworzyła oczy, poznała go i danym znakiem zażądała oddalenia jego. Ale on niepomny na niebezpieczeństwo, zabrał luby ciężar na barki i w towarzystwie ojca poniósł do swego pomieszkania. Nie zaniedbał żadnego środka sztuki do uratowania ukochanéj istoty. Światło słońca i migot lampy, widziały nieszczęśliwego Zijaniego nieustannie przy łożu choréj.

Giovanna wyzdrowiała. Ojciec i narzeczony prawie tylko cudem uniknęli smutnego losu tylu tysięcy zgładzonych morowém powietrzem.

Zamordowanie Doży, obległo żałobą umysły wszystkich spokojnych obywateli Wenecyi, gdyż nieraz już gwałtownie zadana śmierć książętom rzeczypospolitéj, chyliła to państwo do upadku. Lud już nawykł był do niebezpiecznego zwyczaju stawienia oporu potędze publicznéj; przy najdrobniejszych wypadkach żądał od osoby Doży zdania sprawy z jego postępków; smutne z tego wynikły skutki, musiano nakoniec dla położenia tamy tym rozruchom, obmyślić surowe środki.

Dla tego téż, tak zwana *Guarancyja*, jedyna podówczas (1172) istniejąca władza, ustanowiła w tym celu wielkie ciało radne, składające się z siedmiuset czterdziestu członków, a ci z grona swego wybiérali sześćdziesięciu najgodniejszych obywateli, zwanych: *Pregadi;* późniéj zaś mianowano ich senatem. Zgromadzenie to łączyło w sobie najwyższą władzę państwa; jedénastu z pośród nich, obiérało Dożę. Lud z radością powitał tę nową ustawę.

Wszystkie prawie głosy zgodziły się na to, aby walecznemu Malapieremu poruczyć wodze zachwianego rządu. Często on po rycersku ważył życie swoje w krwawych walkach z nieprzyjacioły rzeczypospolitéj, jegoto mądrym radom i roztropnym rozporządzeniom przypisywano ostateczne zniknienie morowéj zarazy. Jednakże umysł młodego Malapiera, nie ulégał ani dumie ani lekkomyślnéj zarozumiałości; dobro ojczyzny było mu droższém niż świetność jego imienia. Bystrym wzrokiem poznał on bez namysłu potrzebę silniejszego charakteru do stérowania okrętem państwa w tak krytycznych położeniach. Wolno-myślnie, jak prawy bohatér naprowadził obiérających na ważne wypadki zdarzyć się mogące, i skromnie odsunął się od nadanéj mu godności książęcéj.

»Stan teraźniejszéj naszéj rzeczypospolitéj«, rzekł, »wymaga po swoim naczelniku nietylko mądrości i męztwa, ale także korzyści świetnego imienia i znacznego majątku, aby zarówno odpowiedział oczekiwaniom klasy oświeconych jak téż zajął zmysły prostego ludu.«

Po téj przemowie zwrócił nakoniec uwagę obiérających na Sebastyjana Zijaniego. Ten, pomimo młodość swoję, zdał się być w posiadaniu wszystkich własności zasługujących na odznaczenie takie.

Dowód tyle szlachetnego umysłu sprawił powszechne zdziwienie. Zgromadzenie przekonane słusznością uwag jego, wybrało jednogłośnie: Sebastyjana Z i j a n i e g o książęciem panującym, jednakowoż pod wyraźnym

warunkiem: zerwania wszelkich stosunków z córką starego Daponty. Lud bowiem uniesiony zemstą, w rozruchu żądający śmierci księcia Vitali, opamiętał się, i żałując już swego obłąkania, przeklinał mordercę, który tak pospiesznie wykonał szalony wyrok jego. Widoczną było rzeczą, iż nowy Doża w sposób taki nie pozyskałby nigdy powszechnéj u ludu miłości, i zaraz z początku godność jego poszłaby w nieuszanowanie, gdyby na tron książęcy Wenecyi wyniósł córkę mordercy.

Pełen radości pośpieszył szlachetny Malapiero do swego przyjaciela.

»Wybór już skończony«, rzekł a oczy mu radością pałały.

Zijani ścisnął mu serdecznie rękę i odpowiedział: »Niebo kiérowało myślą zgromadzenia, bo wnosząc z radości promieniejącéj w twarzy twojéj, witam w tobie kochany Malapiero mojego księcia.«

»Zaiste, niebo kierowało wyborem zgromadzenia, bo ty jesteś, którego wyniosło na godność Doży!«

Na tę wiadomość natchnienie uroczyste wybiło się na obliczu Zijaniego, zwrócił wilgotne oczy ku niebu i zawołał z dumném postanowieniem: »Kiedy mnie ojczyzna tak wysoce uczciła, składam więc w téj chwili świętą przysięgę poświęcenia życia mego jéj sławie i szczęściu! Oby mi Bóg, chroniący królów i narody, udzielił dosyć siły i mądrości do spełnienia godnie powołania mego!«

»Drogi przyjacielu, słyszałem przysięgę twoję, przypomnę ją tobie, gdy będzie czas potemu«, dodał Malapiero, nie uwiadamiając go rozmyślnie *o warunku.*

Deputowani senatu powitali uroczyście nowego pana z zaproszeniem udania się do zgromadzenia. Zijani szedł w towarzystwie swego przyjaciela do książęcego pałacu; niezliczone mnóstwo ludu zajmowało całą drogę i napełniało powietrze radośnémi okrzykami. Pochlébna nadzieja posiąść przywiązanie ludu, przyprowadzić rzeczpospolitą do potęgi i sławy, rozgrzéwała ambitną duszę jego, ukochany obraz Giovanny unosił się przed nim nieustannie w uroczych marzeniach przyszłości! Myśl, podzielania z tym aniołem blasku tronu, napawała niewysłowioną rozkoszą serce jego.

Rozmarzony upojeniem tych słodkich pomysłów, wszedł do sali senatu; ale jakże uderzające było jego rozczarowanie, gdy się dowiedział o smutnym warunku, pod którym go obrano! Stał przez chwilę w ponurém milczeniu jakby osłupiały, ale zaledwo opamiętał się i z piérwszego wyszedł zadziwienia, rzekł pośpiesznie z namiętném uniesieniem w te słowa: »Przenigdy! Jeżeli mam szczęściem mojego życia okupić waszą koronę, zatrzymajcież ją sobie! Z radością zrzékam się godności, o którą się nie ubiégałem, i wszystkim tu w obec szczérze zeznaję, iż nie jestem zdolny rządzić ludem, którego piérwszém życzeniem jest wydrzéć najgłębsze i najdroższe uczucie z piersi swego księcia!« — Po tych słowach opuścił salę i zostawił zgromadzenie w największém zadumieniu.

Piérwsze kroki zwrócił do swéj narzeczonéj. »O, moja najdroższa Giovanno! Jużto po raz drugi odzyskałem ciebie«, zawołał z najżywszą czułością, »dwa razy groziło mi niebezpieczeństwo utratą twoją, nie ociągajże się dłużéj oddać mi ręki swojéj!«

»Ah, jakże zniosę tyle szczęścia«, westchnęła Giovanna i rzuciła się w jego ramiona. »Kocham ciebie, ubóstwiam, ale nigdy nie byłabym ani śniła o tém, że przedmiot mojéj miłości, że mój najukochańszy Zijani będzie kiedyś Dożą Wenecyi! To za wiele, za wiele dla biédnéj Giovanny!«

Zijani zostawił ją w tym obłędzie, nalégał tylko na starego Daponte, aby się ich zaślubiny jeszcze tego wieczora potajemnie odbyły, utrzymując, że takim sposobem uwolni się od ceremonij, któreby spełnienie jego najdroższych życzeń w niepewną przyszłość przeciągnęły.

Powód Zijaniego zrzeczenia się godności książęcéj, rozeszedł się wkrótce pomiędzy ludem i powiększył jeszcze bardziéj nienawiść jego ku mordercy Doży. Sama tylko śmierć Dapontego mogła zmazać krwawą winę i zmusić Zijaniego do zrzeczenia się córki człowieka, na którego głowę rusztowanie swoje prawa rozciągało. Groźne szemranie zgromadzonych na placu tłumów, oznajmiało oburzenie ludu, dzikie krzyki i wszystkie oznaki, zapowiadały blizki wybuch rozzłoszczonego pospólstwa. Lud wysłał deputowanych do senatu, aby żądali niezwłocznego przyjęcia wyboru od Zijaniego, ukarania Dapontego i wywołania córki jego z kraju.

Zijani kazał powiedziéć senatorom, że ich o swojém postanowieniu nazajutrz uwiadomi.

Malapiero udał się do swego przyjaciela, przywodził mu w pamięć złożoną przysięgę, obowiązki ku ojczyźnie, bezcześć imienia Dapontych. Wszystko nadaremnie. Zijani był niezachwiany.

»Wiészże ty, czego odemnie żądasz?« zawołał z rozpaczą; »Wydrzéć mi Giovannę, jestto pozbawić mnie anioła stróża, któryby mnie uczynił ojcem ludu. Maż ona jaki udział w zbrodni swego ojca? Możnaż niewinnego karać za czyn, którego nie popełnił? Przenigdy! Nieszczęście

zmacnia jeszcze silniéj te ogniwa, którémi nas miłość łaczy. Powiadam wam ostatecznie: jeżeli to anielskie stworzenie nie podzieli mojéj władzy, wodze państwa innym muszą być powierzone rękom.«

Malapiero milczał. Zijani ochłonąwszy z namiętnego uniesienia, wywnętrzył całe swoje serce przed przyjacielem. Skréślił mu szczęście swego blizkiego związku, nie przepomniał także, że dziewica, którę z Wenecyi wywołują, jeszcze tego wieczora żoną jego będzie. Po długiéj, poufnéj rozmowie rozeszli się obaj przyjaciele.

Ledwie Zijani weselnémi przygotowaniami zatrudniony, swój pałac opuścił, pospieszył Malapiero do starego Daponty, aby zapobiédz nieszczęściu i przeszkodzić zaślubieniu. Zastał Giovannę stojącą przed źwierciadłem uradowaną i do czarnych swych loków ślubny wieniec przypilającą; ojciec jéj siedział z głową zwieszoną w kącie komnaty, i smutnym oddawał się myślom. Skoro dziewica postrzegła Malapiera, poskoczyła wesoło ku niemu i podała mu rękę na przywitanie.

»Będzieszże na ślubie naszym?« zapytała go żywo, a potém dodała z uśmiéchem: »Nieprawdaż? Wierny przyjaciel mego męża, będzie i moim.«

»Właśnie w dowód tego przybyłem w te miejsca. Ale cóżto ja widzę? Miałżeby ojciec nie pochwalać tego związku?«

»Zaprawdę!« odrzekł starzec ponurym głosem, »widok tych uroczystych przygotowań, dreszcza mnie przechodzi; jakże ma się radować serce, w którém się wąż żalu zagnieździł!«

»Ach, drogi ojcze!« przerwała mu Giovanna, »czegożbym nie uczyniła, aby zaspokoić głos twego sumienia!«

»Jako? Miałażby piękna Giovanna tyle odwagi, iżby w razie potrzeby zrzuciła wianek ślubny, jéj włosy zdobiący?« zapytał Malpiero głosem uroczystym i dobitnym.

Na to zagadnięcie zwiesiła dziewica głowę, i wpatrzywszy swe piękne oczy w woniejące kwiaty, które w ręku trzymała, po długiém milczeniu westchnąwszy, rzekła głosem od łez stłumionym:

»I tę ofiarę przynieść jestem gotowa.«

Po tém zeznaniu, opowiedział Malapiero bez wszelkich omijań, istotny stan rzeczy, skréślił wymownémi usty Zijaniego ważność dla rzeczypospolitéj, i zamknął tém zapewnieniem: że ojczyzna żądając od niego ofiary miłości, używa tylko swego piérwszego i najświętszego prawa.

»Albożto w jego dzielném sercu nie może się pomieścić razem miłość ku mnie i ku ojczyźnie?« wyjąknęła z bolesnym żalem nieszczęsna narzeczona.

»Nie!« Wrzasnął okropnym głosem Daponte. »Nie! Ty nie będziesz jego żoną. Głos ludu zakazuje ci to, i domaga się twego zrzeczenia. Córce mordercy, nie wolno wejść na stopnie tronu. Ja nieszczęsny! W napadzie szaleństwa zbroczyłem rękę moję krwią mego pana, a ty Giovanno, w zaślepieniu twojéj miłości, chcesz pozbawić ojczyznę ostatniéj podpory?«

Po tych słowach ujął Malapiero biédną, boleścią przejętą Giovannę za rękę, i rzekł czułym, przekonywającym tonem: »Dla spokojności ojca byłaś gotową wszelką ponieść ofiarę, w imieniu ojca przemawiam teraz do ciebie. Giovanno, szczęście i dobro Wenecyi spoczywa w twoim ręku a życie Dapontego, zawisło od twego postanowienia. A teraz pyta się ciebie przyjaciel młodości Zijaniego: coś postanowiła, co zrobisz z wieńcem ślubnym?«

Cała drząca, jak duch nocny blada, oczy osłupiałe wlepiwszy w nieszczęśliwego ojca, stała długo Giovanna nieruchoma, poczém zwolna, chwiejącym krokiem zbliżywszy się do stołu, wzięła wieniec i złożyła go w ręce Malapiera. »Ofiara moja już dokonana«, rzekła gasnącym głosem. »Róże hymenu nie uwieńczą nigdy — nigdy téj skroni! Niech Bóg ocali ojca i zabezpieczy ojczyznę!«

Słów tych domówiwszy, padła na ziemię.

Osiwiały starzec zalany łzami, podniósł ją lekko i położył na łożu. — Po długiéj, uroczystéj chwili, przystąpiwszy do wzruszonego pełnomocnika rzeczypospolitéj i wziąwszy go z tryjumfującą twarzą za rękę, zaprowadził do łoża i rzekł z dumą uroczyście: »Ta oto szlachetna córka Wenecyi, jest moją córką!«

Skoro Giovanna przyszła do siebie, niezmordowany Malapiero nie zaniedbał jéj oznajmić ułożony przez siebie plan do ucieczki, który jeszcze przed zajściem nocy, na pokładzie do żeglugi już przysposobionego okrętu, miał być wykonanym. Zachowano w téj mierze największą tajemnicę, nikt nie wiedział w domu, co się stać miało.

Z zachodzącém słońcem, pełen radości, uszczęśliwiony swoją przyszłością, powrócił Zijani do pałacu w towarzystwie księdza, który miał pobłogosławić jego potajemny związek małżeński. — Cisza grobowa panowała po komnatach, nikt się nie pokazywał; na stole leżał list, a w nim następujące, na prędce nakréślone słowa:

»Zijani! Opatrzność postawiła cię między tronem a kobiétą, która nigdy twoją być nie może! Ojczyzna ma do ciebie świętsze prawa; spółoby-

watele twoi dają ci koronę, stań się ich obrońcą, i bądź im ojcem!—I szczęście małżeństwa będzie twym udziałem—znajdzie się dziewica, która... Twój szlachetny, twój duch ognisty usłuchałby i bez mego upomnienia głosu honoru, jestem o tém przekonaną, jednakże, aby ci oszczędzić ciężkiéj walki, opuszczam dobrowolnie Wenecyję. Zijani! Jeżeli mnie kochasz, nie będziesz dowiadywał się o miejscu mojego schronienia—zapomniéj biédną Giovannę na wieki! Odtąd myśl tylko o sławie i szczęściu tego pięknego kraju, który nam obojgu dał życie, ale nas obojga razem zatrzymać nie może!«

Czyje serce nie doznawało czarodziejskiéj potęgi miłości, kto nie doświadczył krwawych cierpień z rozstanku, któremu to straszne słowo: »Na wieki!« odgrzmiéwa jak piorunu echo, ten nie pojmuje uczuć wichrzących sercem Zijaniego, ten nie pojmie jego niewysłowionéj rozpaczy! Już stał u progu szczęścia, co mu jak najpiękniejsze życzenie całego życia uroczo przyświécało, a teraz—ujrzał nagle pustą teraźniejszość, otwiérający się widok w przyszłość pełną najboleśniejszych wspomnień i udręczeń bez końca! Jak zmysłów pozbawiony przebiegał opuszczone komnaty, stokroć wołał najdroższe imię, gdyż jego serce wierzyć nie zdołało, aby się Giovanna z nim samowolnie rozstała. »Nie, nie! To być nie może!« powtarzał bezustannie. »To był jakiś duch potępiony, to była moc piekła, co mi ją wydarła! Ale przysięgam na odwiecznego Boga, na moje wiecznie niezgasłą miłość przysięgam, że ją z tych rąk zbrodniczych, z tych rąk szatańskich odbiorę!«

Zgromadził około siebie służbę, przyrzekł wielką nagrodę, ktoby odkrył ślad Giovanny, i sam bez zwłoki puścił się w pogoń.

Malapiero tymczasem odprowadził uchodzących do portu, a gdy już odpływający okręt gnany pomyślnym wiatrem, ujrzał na morzu, powrócił do pałacu przyjaciela swego, aby go w téj okropnéj chwili ustrzegł od rozpaczy. Lecz go nadaremnie wszędzie szukał, wszędzie dopytywał, nigdzie go znaleźć nie mógł. Dopiéro gdy po długiém śledzeniu, znowu do portu powrócił, dopytał się téj smutnéj wieści: że Zijani, uwiadomiony o ucieczce Giovanny, nająwszy najlotniejszą galerę, pognał z największym pośpiechem za uchodzącą. W myślach zatopiony, szczérze zajęty szczęściem swego przyjaciela, ubolewając nad nieszczęśliwą jego namiętnością i nieudolnością zwalczenia słabości serca, wrócił Malapiero do miasta.

Jakże nieskończenie długą na rozbujałych falach morskich, była noc dla niecierpliwego żeglarza! Nawet skrzydło-lotny wichr, który na wyścig z myślą łódź pędził, zdawał mu się być za leniwym! Ale jakaż radość nie przejęła duszę jego, gdy o świcie poranku, w złotym blasku dnia młodego, miłością zaostrzoném okiem na dalekiéj wód przestrzeni dojrzał biały żagiel okrętu! Na radośny wykrzyk jego, podwoili wioślarze swoje usiłowania. Wiatr jakby idąc w pomoc tęsknocie kochanka, zadął potężnie w żagle, a galar szybkością strzały przerzynał szumiące fale. Wkrótce wybłysnął okręt z zamroki, i stanął przed ich oczami w całéj swéj postaci. Na pokładzie w białéj, rannéj szacie, ujrzał Zijani swą ubóstwioną Giovannę, ale nie dojrzał jéj trwożnych skinień, które dawała mu w oznakę, aby się oddalił i opuścił ją na wieki! Gdy już galera dogoniła uciekających, a Zijani z otwartémi ramionami chciał pospieszyć na pokład okrętu, w téjże chwili Giovanna nań drżącym głosem zawołała:

»Wstrzymaj się Zijani! Wejdź w siebie i pomnij, czego ojczyzna po tobie wymaga! Jéj prawa są świętsze niż wszystkie związki! Zaklinam cię na miłość naszę, usłuchaj jéj głosu!«

»Przeklęctwo rzeczypospolitéj!« zagrzmiał młodzieniec piorunu głosem. »Pogardzam tym ludem, co naszą czystą miłość potępia!«——

Ani prośby kochanki ani złorzeczenia starego Daponty, nie mogły uspokoić rozpaczającego; młody zapaleniec z nieugiętą zaciętością obstawał przy prawach swoich. Na ten widok wyższe męztwo rozpłomieniło łono bohaterskiéj dziewicy, silnym i donośnym zawoła głosem:

»Zaślepieńcze! Chceszże przemocą skalać czystą miłość naszę? Nieszczęśliwy! Upamiętaj się! Jeżeli dłużéj jeszcze będziesz domagał się w szale twoim posiadania mojéj osoby, w tém zimném łonie bałwanów morskich, będę szukała ochrony przed tobą!«

»Nie bluźń Giovanno, tyś moja, ty do mnie należysz!« wrzasnął Zijani prawie od zmysłów odchodząc, »żadna potęga świata nie zdoła rozerwać tych węzłów, które nasze serca skojarzyły!«

Na te słowa posiwiały ojciec, rzucił się z gołym mieczem na natrętnika, nie dozwalając mu na okręt wstępu.

»Stój Zijani! Stój powiadam, albo z mojéj ręki trupem padniesz! Ojciec broni córki swojéj!«

Tu Zijani od zmysłów odchodząc, rozpaczą owładnięty, uderza bez najmniejszéj uwagi na swego przeciwnika. Zacięta wszczęła się między nimi walka. Giovanna widząc płynącą krew ojca i narzeczonego, z płaczem i wykrzykiem przestrachu, rzuca się między obu, błaga i zaklina, ale nadaremnie! Głos jéj znikał przy szczęku

mieczy. Od ojca i narzeczonego na bok odtrącona, spieszno się namyśla i ostatniego chwyta środka. Lekkim co żywo opasuje się powrozem, spieszno uwiązuje u drugiego końca kotwicę, i tak występując na czoło pokładu, woła donośnym, uroczystym głosem: »Żegnam cię Zijani! Żegnam cię na wieki! Umieram za ciebie! Ojcze, pobłogosław twéj córce! Niech Bóg litnje się mej duszy i czuwa nad Wenecyją!«.

Jeden skok — a już się pod nią rozstąpiło morze — biała, migocąca sukienka bohaterskiej dziewicy zaigrała chwilkę z spienionemi falami, ale wnet ją głęboka przepaść w odwieczne pochłonęła otchłanie! Przeciwnikom strachem przejętym wyleciała broń z ręki, a czeladź okrętowa na ten widok stała strętwiona! Zijani chciał się rzucić w bezdno morskie, ale go przemocą wstrzymano. Okropnym, przeraźliwym żalem wzywał obecnych do jéj ratunku, ale Daponte i temu przeszkodził. »Niech w spokoju spoczywa! Wenecyja w wiecznej będzie ją mieć pamięci, a jej piękna śmierć za ojczyznę, zmaże moję winę!« rzekł zimnym, uroczystym głosem i osłupiały wpatrzył się w morze!

Zijani widząc wszelkie niepodobieństwo ratunku, padł jak nieżywy na ziemię, a oba okręty jakby orszak pogrzebowy powracały zwolna do Wenecyi.

(Dokończenie nastąpi.)

LITERACKIE DROBNOSTKI, UŁOMKI, CIEKAWOŚCI, ŚMIESZNOŚCI, FRASZKI I DZIWACTWA, ZEBRAŁ I SPISAŁ D. Z. —

(Ciąg dalszy.)

O charakterze, sposobie myślenia, przymiotach i właściwościach narodów, można nawet z ich pozdrawiania i witania się wnioskować. Mieszkaniec południowych Chin pozdrawia: *tha ian*, to jest: czy jadłeś twój ryż? ponieważ to jest najwyższym szczęściem życia jego. Dwóch Holendrów spotkawszy się, życzą sobie nawzajem z-rana: *Smaakeléykeeten*, to jest: dobrego apetytu. — Mieszkańcy Kairu, pytają się nawzajem: Jak się pocisz? ponieważ zatamowanie transpiracyi jest nieochybnym znakiem utajonej febry. — Hiszpan i Włoch pytają się: Jak stoisz? (*Come esta, come sta?*) — Francuz: Jak się nosisz? (*Comment vous portez vous?*) — Anglik: Co robisz? (*How de you do?*) — Holender: Jak jeździsz? (*How vaart uwe?*) — Niemiec: Jak chodzisz? *Wie gehts?* lub w ogólniejszém znaczeniu: Jak się znajdujesz? *Wie befinden Sie sich?* — Polak: Jak się masz? — Moskal: *Zdrawstwuj!* i t. d.

Augustyn święty twierdzi, że subtelnej dyjalektyki tak się lękać wypada, iż publiczne processyje odprawiać należy, modląc się do Boga, ażeby od tej chłosty kraj zachował. — Bayle porównywa sztukę dysputowania z proszkiem kaustycznym, który gdy zgniłe ciało wytrawi, nareszcie zdrowe a nawet i kości wyżre, jeżeli się temu nie zapobieży.

Pewny Anglik pod złotą bulą Cesarza Karola IV.: *Aurea bulla*, wyobrażał sobie złotego wołu, gdyż po angielsku wół, nazywa się *Bull*, i ażeby go oglądać, odprawił umyślnie podróż z Anglii do Frankfurtu, Lecz jakże został zdziwionym, gdy otworzywszy szkatułeczkę, pokazano mu zamiast wołu, dyplom pargaminowy. —

W Moguncyi, w miesiącu lipcu 1800 roku, sztukę teatralną francuzką: *L'abbé de l'Epee instituteur des sourds et muets*, w tłumaczeniu, na afiszu przełożono i wydrukowano: »Opat szpada fundator głuchych i niemych.« *Der Degen Abt, Stifter der Tauben und Stummen.*

Najsztuczniejsza i w swoim rodzaju jedyna książka, za którą, jak tradycyja głosi, Cesarz Rudolf jedynaście tysięcy czerwonych złotych dać chciał, znajduje się w posiadaniu książęcej familii de Ligne. Tytuł jéj: *Liber passionis Domini Nostri Jesu Christi cum figuris et characteribus ex nulla materia compositis*, to jest: »Książka męki pana naszego Jezusa Chrystusa z figurami i charakterami z żadnéj materyi złożonémi.« Składa się z 24 kart pargaminowych w formacie 12, które zupełnie próżne się być zdają, przycisnąwszy jednakże do błękitnego papieru, który karty przedziela, pokazują się litery i rysy figur z największą subtelnością i dokładnością wyrznięte. Z Monogramu Henryka III., który na końcu znajduje się, wnosić można, że między rokiem 1485 i 1509 sporządzona. Postanowiono formalnym aktem, że ten rzadki klejnot w posiadaniu najstarszego z rodziny książąt de Ligne znajdować się powinien, a na przyłączonéj karcie czytać można dwanaście wierszy francuzkich, któremi książę de Ligne w roku 1609 postanowienie to zatwierdza.

Najmniejsza z najdawniejszych książek. Najprzód poczytano za najmniejszą z najdawniejszych książek, a zatem za najszczególniejszą rzadkość: *Psalterium hebraicum*, którę w Bazylii Pelikan roku 1516 wydał, format 24., to jest 24 kart z arkusza. Potém odkryto w takimże formacie starszą, pod tytułem: *M. T. Ciceronis de officiis, de amicitia & Venetiis Alex. Paganini Sept.* 1515, później jeszcze starszą o kilka miesięcy: *Arcadia del Sannazaro*, u tegoż samego Paganinigo 1515 r. w kwietniu wytłoczoną; aż nareszcie za najmniejszą i najdawniejszą uznano: *Officium Beatae Virginis Mariae*, która w nadwornéj biblijotece w Monachijum znajdować się ma i w Wenecyi u Jana Emer. de Spira 1499 roku wydana. Kolumny na kartach tego karła-książeczki, zajmując tak liczby stron, jak i sygnaturę, wynoszą wysokości cal i ośm linii miary bawarskiéj, szerokość wiersza 13 linij. — Czyli coś drobniejszego jeszcze nie odkryto w nowszych czasach, piszącemu nie wiadomo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 41. i obejmuje: 1) O urządzeniu i zarządzie dóbr. Rys ze względu na stosunki galicyjskie skréślony przez Kazimiérza Józefa Turowskiego. (Ciąg dalszy). 2) O uprawie chmielu. 3) Odpowiedź względem sposobu uprawiania roli kołowaniem i regularném nawożeniem téjże co lat pięć.

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 21. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Przez ulicę, obraz fantastyczny, przez Józefa Dzierzkowskiego. (Ciąg dalszy). 2) Nowości literackie. 3) Teatr.

Z Warszawy: *Przeglądu naukowego* numer 27. zawiéra następujące artykuły: 1) Przegląd pierwszego półrocza *Biblijoteki warszawskiéj* z r. 1843, przez Dembowskiego. 2) Parafijańszczyzna, przez K. 3) Encyklopedyja i Metodologija prawa (Ciąg dalszy), przez Mazura z Płockiego. 4) Kronika piśmiennicza polska.

— *Biblijoteka warszawska* zawiéra na miesiąc październik następujące artykuły: 1) Kościół archikatedralny św. Jana w Warszawie, przez A. Idźkowskiego. 2) O handlu zbożowym polskim z miastami portowemi Bałtyku. 3) *Vivat Polonus unus defensor Mariae*, opowiadanie starego żołnierza, przez Kosińskiego. 4) Otrzymywanie rysunków za pomocą światła, ciepła i elektryczności, przez Przystańskiego

5) Filozofija sztuk pięknych, przez Dra Karola Libelta. 6) O prawach włościan w Galicyi, przez S. B. 7) Kuma, przez Feliksa Wicherskiego. 8) Kronika literacka. 9) Rozmaitości: a) O Janie Filipie Karozym i Karolu Pertesie, dwóch naturalistach polskich pod Stanisławem Augustem, przez Wagę. b) Odkrycia profesora Leo. 10) Wiadomość biblijograficzna, przez Stefana Mackiewicza.

Gabinet figur woskowych jedyny w swoim rodzaju na całym świecie, jest własnością pani Tussand w Londynie, która oprócz głów Herberta Robespierra i innych bohaterów rewolucyi francuzkiéj, posiada wiele pamiątek po Napoleonie. Są one wszystkie w jednéj ustawione sali, która ma napis: *The shrine of Napoleon or the golden Chamber.* Tu widzieć można między innémi dokładnie naśladowane polowe łóżko żelazne Napoleona, takiż sam materac i poduszkę, na któréj w ostatnich latach spoczywała głowa Napoleona marząca o tém, co zaszło, dopokąd do snu wiecznego złożoną nie została. Na témże łożu leży ciało Napoleona z wosku, z tym samym wyrazem twarzy, jaki miał na katafalku na wyspie św. Heleny, na nim jego ulubiony zielony surdut szaserów, nogi okrywa mu stary, wypłowiały płaszcz żołnierski, ten sam, który miał na sobie pod Marengo, który zapisał był swemu synowi, a który potém z domu Longwood niesiono za trumną do grobu. Od téj chwili, kiedy Napoleon uczynił swoję ostatnię wolę, upłynęło już 22 lat. Ileżto zmian w tak krótkim przeciągu! Syn Napoleona w grobie, zwłoki Cesarza w domu inwalidów, a płaszcz z pod Marengo, okrywa nogi wizerunku jego w gabinecie figur woskowych. Nie słusznież nazwaliśmy ów gabinet najciekawszym na całym świecie? Tamże znajduje się także pamiątka po żywym Napoleonie—ząb, który mu lékarz O'Meara na wyspie św. Heleny wyjął.

Odrodzenie się Egiptu we względzie umysłowym. Przed dwudziestą dwoma laty, gdy Napoleon przepowiadał: że oświata lotem orła całą ziemię w około obleci, nie miał Mehmed-Ali na swoim dworze żadnego krewnego, któryby czytać umiał, a zadziwiające wynalazki i odkrycia oświeconéj Europy, były podówczas dla Egipcyjan tajemnicą. A teraz zaledwie od owéj chwili dwa dziesiątki lat upłynęło, mają Egipcyjanie swoich własnych krajowców inżynijerow, strategików, naturalistów, lingwistów, którzy na uniwersytetach francuzkich nauki pobiérali. Niedawnémi czasy przesłał minister publicznego oświecenia w Egipcie Edhem-bej, marszałkowi Soultowi dla biblijoteki w Algiérze, następujące dzieła w arabskim języku, które z pod jego własnego pióra wyszły, jakoto: Jeometryję Legendre, analityczną jeometryję Tobiasza Mayer, popularną jeologiję, historyję francuzkich królów i owoczesnych kalifów i historyję Karola XII., króla szwedzkiego, przez Woltera.

Największy lodowiec na kuli ziemskiéj. Zdumiewamy się czytając o obszarach wiecznym śniegiem zasłanych, które się w Alpach na kilka mil rozciągają. Cóż dopiéro powiémy o odkryciu kapitana Ross na południowym biegunie w kraju Wiktoryja. Tenże podróżnik pisze, że całe wybrzeże tego kraju jest jednym lodowcem na 200 stóp prostopadłéj wysokości, jak się zaś daleko rozciąga, dotąd jeszcze nie wiadomo, z tego atoli można powziąć wyobrażenie, że kapitan Ross, 230 mil morskich wzdłuż tego lodowca odbył, nie dotarłszy do tego miejsca, gdzie się on kończy. Tenże podróżnik donosi także, że olbrzymie, na milę długie odłamy, odłączają się od tegoż lodowca i lecą w morze. W kraju Wiktoryja jest wulkan, którego lejek 12,000 stóp po nad powierzchnią morską się wznosi, i z którego słupy ogniste i dymu do dwóch tysięcy stóp wysokości się wzbijają. Cała formacyja tego kraju, okazuje wulkaniczny początek téj ziemi.

Adwokat jakich mało. Banda rabusiów dostała się w ręce sprawiedliwości. Jeden z tychże poruczył obronę swoję pewnemu adwokatowi, który słynął z poczciwości i prawości charakteru, témi oto słowy: »Nie chcę utrzymywać, żem niewinny, byłbym zaś głupi, gdybym się przyznawał do winy; chodzi mi tylko o to, aby się moja głowa ostała na karku; jeżeli panie tego dokażesz, przyrzekam ci 20,000 franków; na kilka lat więzienia przystaję, i przyrzekam, że po odbytéj karze będę uczciwym człowiekiem.« — I w saméj istocie adwokat wymową swoją dokazał tego, że gdy spólnicy rabusia, poczęści śmiercią poczęści dożywotniém więzieniem ukarani zostali, on sam tylko miał ponieść karę pięcio-letniego więzienia. Uradowany rabuś takim wypadkiem, padł przed adwokatem na kolana i chciał się uiścić z przyrzeczonej sumy. Ale adwokat odparł: »Miłość bliźniego jedynie kazała mi cię bronić, nie chcę przyjąć pieniędzy, które się może rabunkiem lub mordem w twoje dostały ręce. Jeźli mi chcesz okazać wdzięczność, wymień tych nieszczęśliwych, których pokrzywdziłeś a ja im wrócę zrabowane pieniądze.« — Złoczyńca zawstydzony taką spaniałomyślnością, nie tylko że dopełnił życzenia adwokata, ale dodał jeszcze do przyrzeczonéj sumy 3 000 franków, które był ukrył, a adwokat, który sam był niemajętny, i miał liczną rodzinę, odesłał bezimiennie wszystkie te pieniądze, komu się należały.

Lunatyk. *Courier Dumfries*, umieścił następujący szczególny wypadek: »Dwaj chłopcy wracając z pola po nad brzegiem morskiém i dostawszy się na skałę nadbrzeżną, ujrzeli w odległości na trzydzieści prętów na niedostępném urwisku skały gniazdo wrón morskich. Jeden z nich chciał młode zabrać, ale na żaden sposób nie mógł się do niedostępnego dostać gniazda. Markotny więc, że mu się nie powiodło, wraca do domu i kładzie się spać; lecz we śnie zajęty témi ptakami wstaje, idzie prawie nagi, bo tylko w koszuli, pół mili angielskiéj na owo miejsce, gdzie ujrzał wronie gniazdo, przebywa szczęśliwie wszystkie zawady, spina się po stromych urwiskach, i tą samą drogą wraca napowrót z swoją zdobyczą. Nazajutrz, gdy się przebudził, jakże się zdziwił, gdy ujrzał nogi ze skóry odarte, ręce zakrwawione, kolana zbite. Na zapytanie swego towarzysza, coby tego było przyczyną, odpowiedział, że mu się śniło, iż chodził do wroniego gniazda. Jakoż w istocie złapane ptactwo poświadczyło, iż lunatyk wykonał tę nocną niebezpieczną wycieczkę.

Mężczyzna z rogami. W Pizie daje się widzieć za pieniądze mężczyzna — kawaler z rogami! Ma on powyżéj skroni dwie rogowe na 6 cali wysokie a półtora cala grube narośle, które według zdania lekarzy przez operacyję bez niebezpieczeństwa życia zdjąć się nie dadzą. Mężczyzna ten ma lat 36, i przypomina Jowisza z Amon

---

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.